

# BEM

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

23

Skrzynecki nawet nie zauważył ich oddalenia, bo oto nazwisko Bema poruszyło w generale ledwie co uciszoną burzę, potokami goryczy zalało mu serce.

Bem! Znów jeden z tych obłudników, faryzeuszów, których na to podniósł, wywyższył, aby mu złem za dobro płacili! dobył go z kapitaństwa, pozwolił wykazać, zasłużyć, mianował dowódcą baterii, na pułkownika go wypromował! Cha, i doczekał się wdzięczności! Szarak pospolitego imienia, oficerek ni z pierza ni z mięsa, bakałarz ogniów ze Szkoły aplikacyjnej wywyższenie swoje wziął za prawo do intryg, do knońki przeciwko własnemu wodzowi! Śmiech powiedzieć, ważył się kandydaturę swą wysuwać, iść z nim, ze Skrzyneckim w paragon. I gdzie nie dotarł! do Krukowieckiego, do prezesa Rządu! Jemu, Skrzyneckiemu, czołobitnościami wojskowymi świeci, gorliwca symuluje a za plecami kąsa, szczuje, knowa. I dziwić się tu Prądzyńskiemu, kiedy taki nowicyusz, kapitan w istocie, waży się nadstawiać! A przecież ludził się, że właśnie tacy, jak Bem, ci, którzy za jego przyzwoleniem, pod jego rozkazami na pułkowników wyszli, będą mu najwierniejsi, że na takich dopiero wolno mu polegać. Ale się im pan Bem przeliczył. Jeszcze mu daleko do generalskiego kołnierza, jeszcze mu zasię od prowadzenia gry z wodzem naczelnym! Tegoby jeszcze trzeba było, żeby mu przyszło z ciurami politykować! Weźmie nauczkę. Przykład musi być!

W tem miejscu Skrzynecki rozwarł gwałtownie drzwi i rzucił przez próg ordynansowi.

— Wołać pułkownika Bema.

Po chwili we drzwiach ukazała się nikła postać dowódcy baterii konnej.

— Mam honor witać wodza generała!

Skrzynecki skinął niedbale w odpowiedzi na ukłon i zaczął oschle.

— Stan baterii?

— Według rozkazu w gotowości do wymarszu.

— Więc doprowadzona do porządku, bo raport inspekcyjny bardzo lichy dla pułkownika wypadł.

— Zawiadomiono mnie w ostatniej chwili... po rannym apelu, część znaczna żołnierzy była za pozwoleniem w Warszawie...

— Nielad, brak doświadczenia. Winienesz pułkownik nie zapominać, iż dnia ani godziny nie jesteśmy pewni! Czas, abyś pułkownik zbył się kapitańskich nawyków. Co dawniej uchodziło, co było w kapitanie cnotą, to jest niezbędnym pułkownika obowiązkiem!

Bemowi plamy czerwone wystąpiły na czoło.

Skrzynecki mierzył krokami komnatkę.

— Nie zawadziłoby do służby garnizonowej zajrzeć.

— Już w trzynastym roku dowodziłem baterią!

— I niechybnie znakomicie. Bo jak porucznik, w zastępstwie kapitana, kompanię w boju siako tako sprawi, to już osobliwości dokazuje. Lecz za co porucznik może wziąć krzyż, za to samo kapitanowi napomnienie się dostaje! — Proszę nie przerywać. Nie ujmuje pułkownikowi zdolności ani odwagi! Masz je i za nie wzięłeś dwa awanse. Więc chyba sowita spotkała cię nagroda.

— Nie uskarżam się, panie generale.

— Jeny patrzysz lepszych promocji! — Tak! — odebrał instancję prezesa rządu o krzyż oficerski dla ciebie...

— Nie zabiegałem oń...

— Prezentowałeś się księciu.

— Stawiłem się wezwany w sprawie listów, znalezione przez mego wachmistrza, listów, które nadewszystko doręczyłem kapitanowi Działyńskiemu, jako adjutantowi...

— A o których nadewszystko dowiedział się pan Krukowiecki.

— Nie odemnie, generale!

— Być może.

— I tak jest! — podjął Bem drżącym od wzburzenia głosem. — A instancję o krzyż raczy wódz generał odrzucić, bo nagrodzonym dość, więc przyjąć nie mogę.

Skrzynecki ochłonął.

— W każdym razie źle pułkownikowi usłużono. Sam i pilnie czuwam, aby niczyja zasługa nie była zapoznaną. Wogóle mam pułkownikowi za złe, że dejesz się do jakichś stronnictw i partyi ciągnąć.

— przynaj, że zgola niewłaściwym było twoje unie-

sienie podczas aresztowania pana Krukowieckiego...

Bem, którego oczy znów błyskawicami lyskać zaczęły, zmieszał się raptem.

— Ciężko było widzieć posiwiątego w służbie generała...

— A mnie stokroć ciężiej na krok podobny się zdobyć. Zniósłbyś pułkownik, gdyby ci twój podwładny oficer od rozkazów się uchylał? Gdyby ci bruździł, wymawiał posłuszeństwo?! Powiedz.

Bem wpił oczy w ziemię. Skrzynecki miał słuszość. Wszak za jedno to obcesowe wystąpienie wówczas, w Pałacu pod blachą, wart był Krukowiecki sądu.

Skrzynecki, uczuwszy swą przewagę nad Bemem, zlagodniał.

— Tak, pułkowniku, nie należy brać rzeczy. Dwie strony są a nie jedna. A przedewszystkiem unikać wypadu intrygantów, krętaczów, bo cię wpłaczą w sieci, uwikłają i zmarnują. Położenie nasze jest samo przez się bardzo ciężkie. Ocalić je może tylko jedność, tylko ufnosć do dowódcy.

Skrzynecki długo jeszcze i barwnie rozwodził się w podobnym sensie. Bem milczał. Chwilami, gdy generał napomkał o niezgodzie, o współzawodnictwie, które, miast walczyć w szrankach prawdziwego dobra ojczyzny, pogrąża ją dla zawiści osobistej, zdejmowała pułkownika ochota wypomnieć Skrzyneckiemu bodaj jednego Umińskiego. Lecz nie śmiał, nie mocen był mierzyć się z wymownością wodza. Skrzynecki bowiem wpadł w zapal krasomówczy. Snuł dźwięczne okresy, unosił się ich wspaniałością, roił, śnił, widział siebie samego takim, jakim może pragnął być.

Aż gdy ustał, gdy wzrok rozlśniony utkwiał w pułkownika, tego ostatniego ledwie że wyrzuty zdjęły. Bo jakże lekce sobie ważył intencje Skrzyneckiego, jakże go nie doceniał, jakże nie ogarniał przeciwności, niweczających najlepsze zamysły wodza.

Skrzynecki snać czuł się pokrzepionym własnymi słowami, bo ozwał się już pogodnie.

— No, pułkowniku, mimo te wszystkie chmury i chmurki, ufam, że niedługo brygadyerstwo sobie zdobędziesz! I bez instancji, bez obiecanek, co w oczy rade cię kaptować a za oczy buty ci szyją w sztabie. Zostaniesz w Wiązowni. Z Rybińskiego dywizją będziesz, więc i ze mną. Lada dzień wypadnie nam rozpocząć... Czekamy na wiadomości... Stanowczą wydamy bitwę...

Skrzynecki pochylił się nad stołem i jął wodzić ręką po mapie.

— Tak — stanowcza rozprawa musi być! — He! — coż, pułkownikowi nie zdaje się? Słucham, proszę...

— Rozprawy stanowczej rad bym unikał, generale.

Wódz się nadąsał.

— A! — Nie ogarniasz stanowisk nieprzyjacielskich! Spójrz, przekonaj się, bitwa rozstrzygająca sama przez się idzie ku nam.

— O ile stać będziemy bezczynnie.

— Nie rozumiem, co pułkownik nazywasz bezczynnością! — uniósł się Skrzynecki.

— Stan, w którym trwamy od kilku tygodni!

— Widzę, że pułkownik przejął się racjami warszawskich patriotów! A nie, daruj, lecz chyba mam prawo wojskowej spodziewać się odpowiedzi! Jakiemuś sejmikowiczowi, kanceliście może troić się w głowie, że jeden pułk nasz starczy na dywizję, że możemy istotnie przedsiębrać nadzwyczajne poruszenia! Ale pułkownik doprawdy głębsze winienesz mieć pojęcie o istotnych przyczynach tej naszej, jak powiadasz, bezczynności!

— I dlatego generale, mogę tylko prosić o zwolnienie mnie z obowiązku wypowiedzania mego niefortunnego poglądu.

Wódz strzepnął desperacko rękoma.

— I otóż zwykła racja! Sądziś inaczej, inaczej rzecz bierzesz, więc urażasz się i milczę!

— Obawiam się jedynie nadużyć cierpliwości generała.

— Przeciwnie, mów, niech się dowiem...

— Dybicz najoczywiściej ściągają wszystkie siły ku Wiśle na otoczenie nas.

— Nie masz wątpliwości.

— Jeżeli dotąd nie przeprowadził się na lewy brzeg to podobno dlatego, że Chłapowski a za nim Giełgud z Dembińskim zagrozili mu na tyłach, że nadchodzące mu rezerwy mają już niezawodnie do czynienia z płomieniem powstania litewskiego, które w obliczu wojsk polskich rozgorzało z podwójną siłą.

— Bardzo słuszny wywód a w nim argument, że bezczynność nasza przecież coś dokazała.

— Według mnie należałoby dalej działać na rozdrobnienie sił Dybicza i ruszyć na Wołyń.

— Na Wołyń! Skazać znów kilka tysięcy ludzi na los korpusu Dwernickiego.

— Zależy od tego, jak nowa wyprawa zostanie...

— Pułkownik, nie wiesz o tem, że Rüdiger sięga Lublina!

— Lecz ma za sobą Zamość a w nim pięć tysięcy załogi z generałem Chrzanowskim.

— Kreutz jest pod Siedlcami.

— Ramorino stoi przy ujściu Wieprza. Uderzwszy więc na Rüdigera z frontu i wysunawszy ku niemu Chrzanowskiego, można Rüdigera nie tylko rozbić, lecz i drogę otworzyć ku Wołyniowi.

— Zostanie jeszcze Kajzarów.

— Za słaby na zgotowanie oporu.

— Warszawa tymczasem wydaną byłaby na łaskę i nienaszkę marszałka.

— Niezupełnie. Generał Ambroży Skarżyński jest nad Bugiem, przy Modlinie. Główne siły mogłyby stanąć w odwodzie, w gotowości do marszu pod Warszawę, korpus generała Umińskiego wystarczylby na Rüdigera...

— Masz na myśli, pułkownik, korpus generała Jankowskiego, który objął dowództwo.

— Tak jest.

— A coż powiesz o magazynach rosyjskich na pruskiej granicy, o przygotowaniach do przeprawy przez Wisłę pod Toruniem?

— Pod Toruniem? — skonfundował się nieco Bem.

— Tak, z czego wynika, że Dybicz czyha na sposobność, aby Warszawę atakować a wówczas...

— Wówczas stracimy miasto tylko. W dziesięć tygodni roku...

— Żyjemy w trzydziestym pierwszym! I kogo byś pułkownik myślał skazać na podjęcie tej nowej imprezy wołyńskiej?

— Gdyby, generale, nie było chętnego, pierwszy-bym...

Skrzynecki rozśmiał się dobotliwie.

— Cha-cha! Dziękuję pułkownikowi za gotowość. Bywaj! Pójdiesz z pierwszą dywizją. A co zresztą, zobaczymy. Chwałę pułkownikowi owo szukanie posunięcia. Zawsze świadczy ono o bystrości. Kto wie, myśl warta zastanowienia. Będę miał na uwadze, proszę być przekonany.

Bem wyszedł od Skrzyneckiego pod wrażeniem, że bądź co bądź, zjednął sobie przychylnosć wodza dla swego planu. I w tym celu zabrał się natychmiast do wertowania map i wykreślenia kombinacji marszu ku Wołyniowi.

Tymczasem wódz naczelny kładł się na spoczynek z uczuciem, że nowego i zgola niebezpiecznego intryganta zmusił do odsłonięcia kart i że nade wszystko Bemowi nie można powierzać żadnej samodzielnej misji. Pozatem cały projekt pułkownika zakrawał dlań na awanturniczą zachciankę nieopatrzego oficera.

Następnego dnia, a raczej w kilka godzin zaledwie po przybyciu Skrzyneckiego do Wiązowny, zjechał sztab główny, kancelarye, generał Łubieński, tabor, bryki pełne tobołów, manatków, kredensów, służby a nawet i dam znaczna gromadka. Lecz co najważniejsze razem z tą cizbą przybył nareszcie Łuba.

Wódz naczelny, na wiadomość o Łubie, nawet nie zmarszczył się za przerwanie mu wczasów. A jeżeli skwapliwość, z jaką Skrzynecki napierał się oglądać szpiega, wywołała sarkastyczne szepty między sztabowcami, to dlatego bodaj, aby zupełnego doczekać się tryumfu.

Łuba bowiem na pierwsze pytanie generała zgiał się w pałąk, zmrużył podpuchnięte oczka i odparł rezolutnie.

— Dobrze słyhać wodzu miłościwy! — Dybicz umarł.

Skrzynecki zerwał się z za stoła.

— Co asan! Skąd! Jak?!...

— Cholera go sparła a podobno lepiej niż cholera. Nad ranem, temu trzy dni, zachorzał a według południa już go nie było. I cale nie za rychło, miłościwy generale!

— Trzy dni temu!

— Akurat miała być parada wielka, jako w rocznicę jakiejś srogiej bitwy tureckiej. Chciałem wyrwać się, ale nie mogłem. Żywego ducha nie puszczali z obozu. Hrabi Toll dowodzi a generał Orłow, który z Peterburka zjechał, przeglądają czyni.

Skrzynecki tak był przejęty odebraną nowiną, iż rozwarł drzwi do izby, kędy cały sztab z generałem Łubieńskim wyglądał końca audyencji Łuby i ozwał się uroczyście:

— Mości panowie, feldmarszałek Dybicz umarł!

Sztab zachręścił ze zdumieniem. Łubieński a z nim pułkownik Lewiński przysunęli się do wodza.

— Czy aby pewna wiadomość? — Rozbity po jazd Kreutza słowa nie pisał o feldmarszałku.

Wódz ruchem ręki zaprosił Łubieńskiego i L